Rozmaitości

Dnia 15. Maja **N^er. 20.** Roku 1841.

ULAMKI Z KRONIKI
MIASTA LWOWA,

PRZEZ
DYONIZEGO ZUBRZYCKIEGO
w rękopiśmie znajdującej się.
LATA: 1405, 1407, 1408, 1507, 1509, 1607, i 1704,
CZYLI:
POCZĄTKI CZTERECH WIEKÓW.

(Ciąg dalszy.)

Rok 1507.

W tym i następującym roku, skupowali radcy miasta dobra Zubrza i Sichow, które z czterech części składały się, i takowe za summę 820 grzywien (każda po 48 groszy) całkowicie nabyli. Mieli w kasie gminnej nieco pieniędzy, resztę z własnego dołożyli; wszelakoż nie dostawało im trzysta grzywien, które u księdza Jana Krowickiego, dziekana katedralnego pożyczyli, zabezpieczając kapitał na tychże dobrach i obowiązawszy się płacić corocznie od całego kapitału dziesięć grzywien procentu (a tak procent wówczas zwyczajny był 3½ od sta). Zacny ten prałat zostawił na potomne czasy ten kapitał w ręku rady i zrobił z niego fundacyją w tym sposobie: że z owych dziesięciu grzywien, obowiązana rada corocznie pięć grzywien płacić lektorowi mszy św. przy katedrze, a drugie pięć grzywien łaziennikowi miejskiemu, który za to powinien będzie co tydzień nauczycielowi szkoły miejskiej, wszystkim uczniom téjże szkoły, i sześciu kapłanom, którym tę prerogatywę wyraźnie rada miejska nada, w poniedziałek, lub gdyby święto wypadło, w następujący dzień bezpłatnie użytku łaźni dozwolić; tudzież co dwa tygodnie tegoż pobożnego dzieła (*tale pium opus*), wszystkim ubogim miejskim, religii rzymskiéj i którzy żebrzą, bezpłatnie dozwalać. — Przed tą fundacyją tylko trzydziestu studentów za assygnacyją rektora szkoły, użytek łaźni co trzeci tydzień bezpłatnie miewali. W łaźni obowiązani byli śpiewać wedle zwyczaju, psalm *»de profundis clamavi«* i pieśń *»Ave maris stella.«* — Łaźnie podług zwyczaju i prawa wolne były, równie jak dobra kościelne, od wszelkich podatków, stacyj wojskowych i ciężarów tak Rzeczypospolitéj jako i miejskich. — Zurządzenia tego, widzieć można, jak dalece użytek łaźni w owym wieku był upowszechniony: że go za rzecz nader potrzebną, a nawet niejako pobożną poczytywano. Radcy, którzy dobra Zubrzę i Sichów dla siebie i swych następców nabyli, zwali się: Mart. Wasserbrot — Math. Weidner — Jan Koszner — Andr. Berger — Stan. Haz — Nicol. Tyczka — Georg. Waynar — Nicol. Arnesti — Mich. Gasner i Georg. Gebel. ***(Fasc. 44. i Libro 1076 pag. 249.)***

W tym roku założony i wystawiony kościół św. Anny. Powodem do tego było następujące zdarzenie. Przed kilkunastu laty, spiknęła się czeladź i chłopcy krawieckiego rzemiosła przeciwko swym mistrzom, zapewne albo o małą zapłatę, lub też o złe z sobą obchodzenie się, i zebrawszy się w nocy opuściła miasto, chcąc w inne udać się strony. Straż miejska nocna w cepy żelazem okute uzbrojona, zaskoczyła ich w tém miejscu, gdzie tenże kościół stoi, i chciała

zatrzymać. Przyszło do oporu i walki, w której kilku czeladzi cepami zabito i tu w tém miejscu pogrzebano. Gdy później czeladnicy, którzy w téj walce udział mieli, na majstrów wyszli, pamiętając o owém zdarzeniu, a chcąc podziękować Panu Bogu, że ich przy życiu zachował, postanowili na pobojowisku i grobach swych kolegów kościółek postawić. Do czego gdy im rada miejska drzewa udzieliła, zbudowano kościół św. Anny, a gdy tenże w roku 1509 przez Wołochów spalony został, wymurowano później nowy z cegły. Kościół ten aż do nowych czasów, a nawet gdy Augustyjanie przy nim klasztor założyli, zostawał pod opieką i prowizorstwem cechu krawieckiego.

Rok 1509.

Przystępuję teraz do opisania dosyć ciekawego zdarzenia. Zimorowicz, zapewne nie chcąc zadać sobie pracy w odczytaniu oryginalnych nader trudnym i zawiłym charakterem spisanych, teraz w fascykule 731 złożonych dokumentów, właśnie to co jest najciekawszém w téj historyi, w inném przedstawił świetle.—Niejaki Hieronim Dobrostański, szlachcic z okolicy, podpiwszy sobie należycie, szedł zmrokiem przez cmentarz katedralny, i śpiéwał pieśń bardzo światową. Spotkał się tamże z uczniami szkoły miejskiéj, którzy go upominali, że na świętém miejscu, nie należałoby z takiémi popisywać się śpiéwami, a może mu i zniewagę jaką wyrządzili. — Dobrostański porwał się do oręża, i zabił jednego studenta. Powstał z tąd tumult i zaburzenie w mieście, zbrodniarz chciał umknąć, lecz że bramy miasta były już zamknione, wpadł do klasztoru Dominikanów, i znalazł tam podług zwyczajów owoczesnych bezpieczne schronienie. Zgraja pospólstwa i studenci nie zważając na świętość miejsca, wyłamali drzwi do klasztoru i byliby tam ubili złoczyńcę, a tém samém znieważyli miejsce poświęcone, gdyby się nie zjawił burmistrz z dwoma radcami, którzy wstrzymali lud rozhukany i przełożyli Dobrostańskiemu, że najlepiéj zrobi, gdy się dobrowolnie odda w ręce zwierzchności miejskiéj, która go zabezpieczy od gwałtu zajadłego pospólstwa. Skłonił się zabójca na perswazyje burmistrzów, wyszedł dobrowolnie z konwentu i wzięty pod straż miejską, w więzieniu na ratuszu osadzony. — Dnia następującego oddała go rada miasta sądowi wójta i ławników, który krótko-węzłowato wziąwszy się do dzieła, winowajcę na śmierć osądził i na gardle egzekwować rozkazał. — Gdy przyszło do egzekucyi ciął kat raz i drugi; lecz czyli umyślnie może będąc przekupiony, lub przez niezręczność, mocno tylko zranił delikwenta, ale go nie zabił.—Wzięto to za znak nieba, darowano mu życie i kazano léczyć. Powiodła się kuracyja, Dobrostański wygojony i swobodnie puszczony. Wyszedłszy na wolność wydał burmistrzom i miastu pozwy do króla o zgwałcenie zaręczonego i przyrzeczonego przez burmistrzów bezpieczeństwa. Toczyła się sprawa u sądów królewskich z wielkim kosztem dla miasta i nareszcie wyznaczył król komissyją z kilku senatorów, między którymi i arcybiskup lwowski znajdował się, i ci w ten sposób spór załatwili, że miasto Dobrostańskiemu znaczną na ówczas summę 3000 złotych zapłacić musiało. *(Fasc. 731 i Lib. 1076 p. 484.)*

Rok 1607.

Już to wyżéj napomknęło się, że tylko miasto otoczone murami zaszczycało się szczególnémi przywilejami, to jest mieszczanie w pośrodku tego miasta posiadłości mający. Z pomiędzy nich tylko byli radcy, ławnicy i czterdziesto-mężowie. Tak miasto różniło się od przedmieść, jak stare miasto Londyn, od innych części tegoż ogromnego miasta. Mieszkańcy przedmieść nie mogli mieć szynków i kupiectwa prowadzić, i chociaż przedmieszczanin jako rzemieślnik i majster do cechu przyjęty został, kondycyja jego nie była taż sama co majstra miejskiego: byli oni tém niejako, czém w miastach niemieckich owego wieku *»die Phalbürger«*, a na Rusi *»Posadcy.«* — Przedmieście halickie było ponajwiększéj części osiadłe z emfiteutów, mieszkających na gruntach, lub do całego miasta, lub do pojedyńczych mieszczan w mieście należących. Obowiązani oni byli z tych posiadłości, właścicielom gruntu, czyli to było całe miasto, czyli pojedyńcze osoby, czynsz gruntowy

opłacać, i oprócz tego tak ci, jako téż i owi, którzy już na własność na przedmieściu ziemię lub domki sobie kupili, szarwarki do porządku, czystości i obrony miasta obmurowanego ściągające się odbywać. Wyjętymi od téj powinności byli jedynie miejscy obywatele, którzy swe folwarki, młyny i pasieki (*Praedia, molendina, sareptas, apisteria*) na przedmieściu posiadali. — W początku byli przedmieszczanie ludzie ubodzy, którzy radzi, że pod miastem znaleźli przytułek i łatwość zarobku, chętnie tym powinnościom ulegali; lecz z czasem ich synowie, wyuczywszy się rzemiosł, i siedząc w domkach po rodzicach odziedziczonych, znajdowali to rzeczą uciążliwą, że będąc rzemieślnikami, i jako tacy mieszczanami, muszą z swych posiadłości robić szarwarki do miasta, od których mieszczanie w mieście mieszkający, wolnymi byli. Z tąd nienawiść między przedmieściem a miastem, tém bardziéj, że rada na wypełnienie téj powinności ściśle nalégała.—Były o to spory w sądach królewskich, lecz miasto zawsze wygrało, zasłaniając się i prawem własności gruntów przedmiejskich, i potrzebą szarwarków do utrzymania warowni około miasta i ochędostwa w mieście.—Udali się przeto przedmieszczanie do innego środka, oświadczając królowi Zygmuntowi III., że oni własnym kosztem i pracą ufortyfikują przedmieście halickie przeciwko nieprzyjaciołom kraju. — Oświadczenia tego chwycił się chciwie król, wydał im przywiléj na fortyfikacyją, nakazał miastu przyłożyć się do dzieła, i zesłał nawet inżeniera Włocha, Aureliusza Passaroti, do wymiaru i wytknięcia owych warowni. Miała zatém ta twierdza zajmować najprzód ogromną przestrzeń, zacząwszy od wilczéj góry za wysokim zamkiem, przez Łyczaków, Rury, Zielone, Kaliczą górę, Górę poznańską teraz *Türkenschanz* zwaną, górę Maryi Magdaleny, Jezuicki Ogród aż do krakowskiéj bramy; później zważywszy niemożność uskutecznienia tak olbrzymiego dzieła, ścieśniono liniję fortyfikacyjną: od bramy krakowskiéj, po za kościół Panny Maryi, po pod klasztor Benedyktynek, po pod szpital teraźniejszy panien Miłosierdzia, po za Seminaryjum teraźniejsze łacińskie, po za klasztor i ogród Karmelitów, poprzék gliniańskiéj i piekarskiéj ulicy, aż do Skałki, to jest miejsca, gdzie niegdyś był pałac Jabłonowskich, a teraz koszary grenadyjerów, z tamtąd poprzek stryjskiego gościńca przez Kaliczą górę i t. d.; lecz i ten plan był nie do uskutecznienia. Na próżno przedstawiała rada miasta królowi niemożność i niepodobieństwo wykonania tego dzieła, obłąkanie przedmieszczan, uwiedzionych przez niespokojnych przewodców, niedostatek ich majątków i sił do tak kosztownego przedsięwzięcia, gdyż ledwie dwieście kilkadziesiąt chałup było na przedmieściu. Królowi zachciało się mieć fortecę wielką bez nakładów, wysyłał komissyję za komissyją, wydawał reskrypta za reskryptami, a zawsze nadaremnie. — Trwały o to spory, pisma, narady, rozprawy i zjazdy od r. 1607 do 1617, przedmieszczanie zaczęli już byli rowy sypać, aż nareszcie komissyja złożona z arcybiskupa Prochnickiego, wojewodów Ostroroga, Żółkiewskiego, Chodkiewicza, Daniłłowicza i innych panów złożona, uznała przedsięwzięcie to, na którego uskutecznienie najmniéj 1,680,368 złotych wyrachowano, a podług wszelkiego podobieństwa więcéj nad dwa milijony wynosić by musiało, za niepodobne i dziwaczne, gdyż do obrony tak rozległych warowni potrzebaby kilkanaście tysięcy załogi, a miasto ledwie dwa tysiące uzbrojonych mieszczan zebrać było w stanie. A tak spełzły te zamiary, jak to często w Polszcze wydarzało się, na niczém. (*Fasc. 668. i Libro 1076 p. 717.*) Wszelakoż zobaczymy pod rokiem 1635, że ten projekt i za Władysława IV. znowu jeszcze w ogromniejszym rozmiarze, lecz równie na próżno, wskrzeszonym został.

W tym roku król Zygmunt III. za pozwoleniem sejmujących Stanów w Warszawie, darował miastu do szpitala św. Ducha wioskę Skniłówek, z cztérech dworzyszcz składającą się. (*Fasc. 195 n. 57. i 60*). Jan Scholc Wolfowicz, radca miasta, zapisał i obowiązał każdego posiadacza domu swego, teraz pod Nr. 47 w mieście, ażeby co rok na Boże Narodzenie, dawał obiad dla ubogich w szpitalu św. Ducha i u św. Stanisława. Do szpitalu św. Ducha ośmdziesiąt porcyj mięsa, dwanaście gęsi z żółtą podlewą,

dwa półmiarki rzepy z 80 kawałeczkami mięsa z solą, *similas* (bułek) za dwadzieścia groszy, i dwie *»scapelas cerevisiae«;* zaś do szpitala św. Stanisława połowę tego wszystkiego, a to pod karą dziesięciu dukatów. (*Lib. 1076 p. 715*). — Piwowarowie czyli raczéj słodownicy, których podówczas cztérech było, składali przysięgę na swe rzemiosło w tę rotę: »iż na słód innego zboża »od mieszczan oprócz pszenicy przyjmować, »ani słodów działać, ludziom luźnym, okrom »mieszczan, słodów robić nie dam, ani sło»dów gorzałczanych w piwie mieszać nie »będę, i słód sprawiedliwie działać i odda»wać mam, w rzemiośle swém wszelką wier»ność i pilność pokazując.« (*Ibidem p. 716*). Troskliwość ta Magistratu dwa miała cele: zabezpieczyć mieszczanom zarobkowanie i korzyść, by obcego piwa nie sprowadzano, tudzież opatrzyć publiczność w dobry i zdrowy napój. Obowiązki bowiem rady miasta były: rządzić, sądzić, i karać, przytém należało do niéj czuwać w ogólności nad pomyślnością całego miasta, i nad pomyślnością pojedyńczych osób i zarobkujących, jak to już widzieliśmy, i jeszcze nieraz późniéj zobaczymy. Słowem, rada miasta miała té powinności względem całéj gminy i obywateli, które ma ojciec w gronie swéj rodziny. Nie czekała skarżącego, lecz sama z przezornością wglądała we wszelkie potrzeby podległych sobie.

Znajdowali się w tym czasie między radcami niektórzy szlachta, którzy prawo miejskie przyjęli. Cztérdziesto-mężowie wnieśli mocyją, ażeby opuścili urząd. Zdawało się im, że ci, ile do innego stanu z urodzenia należąc, nie będą się z tą gorliwością o szczęście ludu miejskiego zajmować, jak osoby z pomiędzy tegoż ludu, i nareszcie obawiali się, by z czasem szlachta całkiem urzędy radzieckie nie obsiadła. (*Lib. 1055 p. 9.*) Oraz postanowiono, że tylko posessionat może być ławnikiem, i ażeby na *Lonherów, Edilów,* dozorców dróg, dyrektorów dostarczania wody, jedna osoba z radców, druga z ławników, a trzecia z pomiędzy cztérdziestu-mężów była wybiérana. (*Ibidem p. 10.*) — Ponowiono owę pod r. 1604 wspomnioną konfederacyję z ziemią lwowską i powiatem żydaczowskim, do wspólnéj obrony, przeciw gwałcącym pokój pospolity. (*Lib. 1141 Arca 18 fasc. 1. Nr. 6.*) — Następujące były ceny niektórych artykułów w tym roku: Garniec dobrego wina, które miasto w dar arcybiskupowi i hetmanowi Żółkiewskiemu posłało, 40 groszy. Kamień wyziny 84 groszy. Funt kawioru czyli ikry, jak go zwano, 8 groszy. Czapka podszyta dla stróża nocnego, 9 groszy. (*Libr. 1209.*) — W tym roku dokończony i poświęcony kościół zakonnic Bernardynek na ulicy gliniańskiéj, pod tytułem Panny Maryi, i drugi mały św. Wojciecha na spadzistości lwiéj góry, gdzie teraz mała prochownia nad wioską Zniesieniem.

W tym także roku umarł Gedeon Bałaban, biskup ruski lwowski. Z tąd niesnaski i niepokoje między Rusią tutejszą dyzunicką. Gedeon wstąpił na stolicę po ojcu swym Arsenim, i tylko spór z Łopatką Ostałowskim opóźnił lat kilka rzeczywiste zawładnienie dochodów z tém dostojeństwem połączonych. Pragnął on, ażeby po jego zgonie, synowiec jego Jonasz, mógł po nim nastąpić, i dla ułatwienia mu drogi, wziął go za życia swego na mnicha, na archimandrytę czyli Opata Unicjowskiego poświęcił, przyczém Jonasz przybrał imię Izajasza, i wyjednał mu u króla koadjutoryją biskupstwa; lecz naród, a mianowicie bractwo ruskie lwowskie, o tém wiedzieć nie chciało, i godząc się z biskupem po długich procesach w roku 1602 to szczególniéj zastrzegło: ażeby żadnego prawa do następstwa rodzinnego na biskupstwo Bałabanowie sobie nie rościli, tylko ażeby kanoniczna elekcyja nastąpiła. Wszelakoż jak tylko umarł Gedeon, zajechał Izajasz cerkiew świętego Jerzego i rezydencyją biskupią, pozamykane drzwi poodbijał, i kosztowności cerkiewne zagrabił. Przeciwko temu zaniesło duchowieństwo i bractwo liczne protestacyje do akt publicznych, oświadczając, że go nie uznało i nigdy nie uzna biskupem. Postrzegł się Izajasz, zaczął używać rozmaitych łagodzących środków, ale nadaremnie, nie mógł przełamać niechęci narodu, chociaż i książę Ostrogski za nim się oświadczył. Skutkiem tego rozdwojenia było, że arcybiskup łaciński Jan Zamojski, prosekwując swe prawo mianowania namiestników

ruskich, o których pod rokiem 1539 mówiło się, chwycił się téj sposobności, zastósować toż prawo do biskupa. A gdy duchowieństwo, bractwo i naród Eustapiego Tysarowskiego obrało, on téż tego królowi polecił, a król chociaż był wydał piérwéj Izajaszowi Bałabanowi przywiléj na koadjutoryję, chcąc wpływ arcybiskupa na wybór biskupów ruskich umocnić, Tysarowskiego na biskupstwie 31go października 1607 potwierdził, który imię Jeremijasza przybrał i stolicę zajął. *(Kr. Sta. I. a p. 94 ad 97).*

(Dokończenie nastąpi.)

OŻENIENIE NA PRĘDCE.

W małym domu przy ulicy *Fleet* w Londynie roku 178— mieszkał sławny Kemble, którym scena angielska słusznie chlubić się może. Żaden tragik nie obudzał żywszego uniesienia, żaden w prywatném życiu nie miał tyle powszechnego poważania. Kemble, wielki artysta, wzniosły tłumacz szczytnych myśli Szekspira, nie szukał swego zapału w orgijach, bachanalijach, lub dzikich saturnalijach.

W dzień, w którym ta powieść się zaczyna, siedział przy kominku, na którym się jasno palił ogień, i odczytywał może po raz stokrotny rolę, którą jenijusz jego w arcydzieło zamienić usiłował. Wcielał się on, że tak powiémy w tę osobę, którą miał przedstawiać, i wywoływał ją z nicestwa wsposób czarodziejski dla przypatrzenia się wszystkim jéj odcieniom; gdy oto zadumanemu artyście niespodziauie oznajmił służący, że go książę B. odwidzić przyszedł. Wpuszczony niezwłocznie, wszedł do pokoju angielskiego Roscinsza człowiek, dumnéj postawy z twarzą zimną i znakami orderu podwiązki.

Po krótkiém przywitaniu i niektórych wyrazach grzeczności, zapytał Kemble z uszanowaniem: »Milordzie, jakiemuż to powodowi winienem te odwidziny, którémi Wasza książęca Mość skromnego artystę zaszczycasz?«

»*Sir* Kemble, wzięła mnie ochota uszczęśliwić wpana, i —«

»Milordzie, chciéj przebaczyć, ale ja nie pojmuję —«

»Zaraz wyjaśnię. *Sir* Kemble jest mi wiadomo, iż twoja rodzina, przyjaciele i towarzysze dostatecznie użytkują z owoców twego pięknego talentu, wiadomo mi, że istotna, a nawet zmyślona nędza nigdy u ciebie daremnie nie wzywała pomocy, również są mi wiadome nietylko twe publiczne tryjumfy, ale nawet tajemnie szlachetne czyny; wiém o tém bardzo dobrze, iż jenijusz twój jest zdrojem, z którego złoto dla wsparcia biédnych płynie — nie przerywaj mi, dopóki nie skończę — nie tajno mi także, iż czystość obyczajów twoich wyższa jest nad wszelkie pochwały, a że wiém o tém wszystkiém, dla tego życzyłbym sobie, abyś tak był bogatym, jak na to zasługujesz.«

»Jestem do żywego wzruszony życzliwością Waszéj książęcéj Mości, — jednakże Milordzie, obok cnót moich, których obraz nazbyt pochlébnie odmalowałeś, dla przedstawienia całości nie należało i o moich wadach zamilczéć. A między témi, mianowicie na czele, mógłbyś Milordzie wrodzoną i że tak rzekę, słuszną dumę umieścić, z któréjby się już odpowiedzi mojéj domyśléć mogłeś — pozwól mi Wasza książęca Mość daléj mówić, a potém raczysz mi według upodobania odpowiedzićć. Jeżeli się nie mylę, posiadam niejaki talent, a przynajmniéj publiczność jest tak łaskawa, że mi niejaki talent przyznaje; jestem w kwiecie młodości i nie zbywa mi na męzkiéj sile; jeżelim dotychczas nie uzbiérał gwineów, to przynajmniéj skromnym sposobem życia zjednałem sobie dary natury, a przeto jestem bogaty Milordzie, a to bogactwo tylko się z mojém życiem skończy. Aczkolwiek nie otoczony blaskiem, żyję jednak w dostatku. Nie doznaję przykrych trosków ubóstwa, chętnie ile możności wspiéram moich przyjaciół. Powiédz Milordzie, znaszże wielu dumnych książąt naszych, którzyby w szczęśliwszém byli położeniu nade mnie?«

Na te słowa zachmurzyło się czoło księcia.

»*Sir* Kemble!« odezwał się znowu, »chcę wpana zobowiązać dla siebie, nie badaj powodów moich. Żądam od wpana dwóch rzeczy: abyś przyjął ode mnie znaczny darunek i — ożenił się.«

»Milordzie, poważam życzliwość twoję. Ale przyznasz sam, że jeżeli Stara Anglija *habeas corpus* otrzymała, to się stało przynajmniéj dla tego, aby poddany trzech królestw, choćby on był aktorem, śmiało mógł odpowiadać lordowi, choćby tenże miał nawet order podwiązki i na królewskiéj ławce siedział, jestem wolny, i nikomu nie przyznaję prawa rozrządzania osobą moją.«

»*Sir* Kemble, domyślam się co chcesz powiedzieć. Znaszże mnie?«

»Tak jest, Milordzie.«

»Wiadomoż ci, że mam córkę jedynaczkę?«

Na te słowa zmięszał się Kemble, gdyż nie poczuwając się do niczego, zdziwiło go to zapytanie. Jednakże wiedząc, że książę w saméj

rzeczy ma córkę, którą nieraz widywał w teatrze, odrzekł, że wie o tém.

Ociąganie się Kembla zdawało się obudzać gniew w książęciu, gdyż z naciskiem rzekł:

»Bardzo dobrze, *Sir,* wczoraj jeszcze poważałem aktora Kembla, dziś dowiedziałem się, że chęć zysku i duma, sercem jego władną.«

»Milordzie, obrażasz mnie w moim własnym domu.«

»Tak, przejrzałem wpana, ale potrafię ukarać twoje szalone zamysły *Sir.* Daję wpanu dwa tygodnie czasu do namyślenia. Jeżeli się w przeciągu tego czasu ożenisz, otrzymasz 10,000 gwineów ode mnie, w przeciwnym razie ludzie moi będą umieli ukarać śmiałość jego.«

Na tę obelżywą przemowę pobladł Kemble od gniewu i stanąwszy przed księciem rzekł: »Milordzie jesteś zbyt śmiały, aleś o dwóch rzeczach zapomniał w swoim zamyśle: o mojéj szpadzie i o prawach angielskich. Nie zatrzymuję cię, bo jestem przekonany, iżbyś się wzbraniał mierzyć ze mną. Bądź zdrów Milordzie, zdaje się, że dziś nie najlepszą noc miałeś.«

Tak się rozeszli ci dwaj mężowie, którzy po raz pierwszy w swojém życiu do siebie się zbliżyli.

Kemble gubił się w różnych domysłach z powodu oświadczeń księcia; lecz nakoniec cały wypadek ten poczytał za dziwactwo ze strony księcia i w kilku dniach zapomniał o nim zupełnie.

Po upływie pewnego czasu siedział Kemble w loży w teatrze, gdy niespodzianie książę B. wszedł do niego. Twarz jego była bladą, oczy zapadłe, nie było już ów dumny, wyzywający par, lecz wewnętrznym bolem znękany starzec. Jakoż Kemble puściwszy w niepamięć wypadek poprzedniczy, poskoczył czémprędzéj na jego przyjęcie.

»Ach *Sir* Kemble«, rzekł lord, »toż nie chcesz mnie usłuchać. Żądasz więc upadku mego domu i mojéj śmierci!«

»Milordzie, zdajesz się być pomięszanym. Ja miałbym nastawać na twoje życie, z powodu kilku obelżywych słów, które ci się w gniewie wymknęły? O, nie znasz mnie Milordzie.«

»Wyznaję, że się na tobie nie poznałem.«

»Nie mówmy więcéj o tém — cóż mam uczynić Milordzie, dla dogodzenia życzeniom twoim?«

»Ożeń się Kemble —«

Milordzie, to przechodzi granicę żartu. Majążto być skutki twojéj starości? Czyś poszedł z kim o zakład? Czy żart stroisz sobie ze mnie? Wierzaj mi Milordzie, iż mi cierpliwości nie staje.

»*Sir* Kemble, oto składam ręce przed tobą i zaklinam cię na wszystko w świecie, ażebyś się ożenił.«

Kemble mniemał, że książę oszalał, wzruszywszy ramionami, chciał już wyjść z loży.

»*Sir,* przez Boga żywego zaklinam cię, nie odmawiaj mi tego. Jakże, nie chcesz?«

»Nie chcę.«

»O, *Sir,* wiedz o tém, iż na wielkie narażam się niebezpieczeństwo, gdy ci moję tajemnicę odkryję.—Możesz jéj na złe użyć—aleś ty mąż szlachetny, nieprawdaż?«

»Milordzie, zaklinam cię, powiédz, co to wszystko ma znaczyć?«

»Przyrzeknij mi, że będziesz miał litość nad starożytną familiją moją, która bez najmniejszéj skazy aż do czasów Wilhelma Zdobywcy sięga.

»Przyrzekam, proszę tylko do rzeczy.«

»Słuchajże, *Sir,* ja mam córkę, jedynaczkę, która w czasie ma być najbogatszą spadkobierczynią w całéj Anglii. Imię jéj Sara! Sara! lube, jedyne dziécię.« Gdy to wyrzekł, rzęsiste łzy potoczyły się po licu starca.

»No, i cóż?«

»Ona kocha ciebie *Sir,* a mnie — nic nie pozostaje, jak tylko umrzéć z zmartwienia.«

Radość i duma błysnęły na pięknéj twarzy wielkiego artysty, gwałtownie zaczęło bić w nim serce, nagle ujrzał niezmierny widokrąg szczęścia, który się przed oczyma jego odsłonił. Ta myśl: »Księżniczka kocha mię« niosła go w przestrzenia niewysłowionéj rozkoszy, gdy oto zarazem spojrzał na starca, który pognębiony rozpaczą, podobnie jak on Pryjam u nóg Achilla, błagał jego litości.

Kemble do żywego wzruszony, podniósł starca z ziemi, rozpłakał się z nim, nakoniec przyrzekł mu i przysiągł, iż się postara, aby spokój w serce jego powrócił, i aby lady wszelką utraciła nadzieję.

Uspokoiwszy się cokolwiek po tym wypadku, ale będąc przeniknięty świętém uczuciem swego przyrzeczenia, wyszedł Kemble z loży i stanąwszy przed progiem teatru, rozmyślał, któréjby osobie płci żeńskiéj na przyszłość mógł swój los i swoje szczęście poruczyć. Zadumanym wzrokiem powodził po ciżbie, która po przed teatr przechodziła, aż oto niespodzianie jakaś niewiasta wymówiła jego nazwisko. Kemble obejrzał się i spostrzegł dwie skromnie ubrane kobiéty, które dla przypatrzenia się jego osobie, cokolwiek się zatrzymały. Jedna z tych młodych dam miała łagodną i przyjemną twarz i z podziwieniem zwróciła swe piękne oczy na aktora. Kemble zbliżył się do nich.

»Czy znasz mnie pani?«

»Tak jest, znam *Sir.* Byłam w *Drury-Lane.*

»Wolnoż się zapytać jak się pani nazywasz?«

»Nazywam się Nancy. Ojciec mój jest rzemieślnikiem, a ja ubogą wdową.«

Głos pięknej Nancy zgadzał się z łagodnością jéj twarzy. Dziwaczna myśl przemknęła po głowie Kembla. Dowiedział się on o pomieszkaniu Nancy, i odwidził ją tegoż samego jeszcze wieczora; w kilka dni później usłyszał Londyn z zadziwieniem: że sławny tragik Kemble wziął Nancy Brereton za małżonkę.

W dzień wesela przyszedł książę do nowożeńców i ścisnawszy Kembla za rękę, rzekł ze łzami wzruszonym głosem: »*Sir*, podług danego przyrzeczenia, przychodzę cię pobłogosławić i z długu się uiścić.«

»Milordzie! oto jest mój skarb«, odrzekł tenże wskazując na swoję żonę, »nic sobie winni nie jesteśmy. Bywaj mi zdrów Mości książę. Oby szczęście i w twój dóm zawitało!«

Skromne życzenie to nie spełniło się niestety! Lady Sara więdła z tęsknoty, i niezadługo z tym światem się rozstała. Kemble zaś, którego śmierć za bardzo wcześnie przyjaciołom i sztuce dramatycznej pozazdrościła, nie żałował nigdy tego ożenienia się na prędce. Znalazł on żonę, której cnota i umysł, krótkie pasmo życia jego najsłodziéj uprzyjemniła, cierpienia jego uśmierzała, i która po stracie drogiego małżonka nigdy w żalu ukoić się nie mogła.

SŁÓW KILKA O JAPOŃCZYKACH.

Japonija była dla Europejczyków jeszcze bardziéj niż Chiny *terra incognita*, dopiero w ostatnich czasach powiodło się holenderskim podróżnym po wielu przeszkodach otrzymać niejakie wiadomości o tym nadzwyczajnym narodzie i kraju; umieszczamy tu niektóre wyjimki z dzieła: »*Manners and costume of the Japanese*«, które niedawno wyszło w Londynie.

1) MIKADO I ZIOGUN.

Państwo japońskie zostaje pod dwoma władcami: pod Mikadem, który *de jure*, i Ziogunem, który *de facto* jest monarchą. Mikado najwyższy władca panuje prawem bozkiém, ponieważ w prostéj linii od Bogów ród swój wywodzi i jest tylko wcielonem bóstwem słońca, *Amaterasu-oo-kami*, które nad całém *uniwersum*, nad bogami i ludźmi panuje. Despotyczne zwierzchnictwo to zostawało do kilkaset lat temu nietykalne, aż nareszcie jeden dowódca wojska pod tytułem Ziogun narzucił się na spółrządcę Mikadema i uzyskał, że ta godność w familii jego dziedziczną pozostała, przyczém jednakże Mikado nietylko swoję najwyższą godność, ale nawet swój przepych i okazałość zatrzymał. Sprawami państwa zawiaduje Ziogun; gdyżby to było bezbożnością i znieważeniem wcielonego bóstwa, gdyby się Mikadem świeckiémi drobnostkami zajmował. Nie wykonywa on żadnéj władzy, niczém się nie trudni, wyjąwszy sprawami religijnémi. On kanonizuje wielkich mężów, których mu Ziogun jako godnych apoteozy przedstawia, wyznacza dni świąt ruchomych, barwy do obrony od złych duchów i t. p. Każdego dnia siedzi kilka godzin jak nieruchomy posąg na tronie; gdyż za najmniejszém ruszeniem swojéj głowy, sprawiłby nieochybny upadek téj części kraju, na którąby się jego oczy zwróciły, a przez nieruchomość swoję utrzymuje całe państwo w należytym porządku i spokojności. Gdy się z tronu oddali, natenczas korona państwa zajawszy jego miejsce, zastępuje go przez resztę czasu i w dzień i w nocy.

Rozmaite są hołdy uszanowania, które to bóstwo odbiera. Wszystko, co tylko Mikadę z blizka otacza, musi być zupełnie nowe. Nie nosi on na sobie żadnéj szaty dwa razy; wszystkie stoły i półmiski, na których jadło mu stawiają, wszystkie czarki i kubki, z których pije, a nawet wszystkie naczynia kuchenne, w których się dla niego potrawy przyrządzają, przy każdym obiedzie zupełnie nowe być muszą. Przedmioty używane, nawet sprzęty kuchenne, są uważane za święte, i byłyby znieważone, gdyby się ich jaki śmiertelnik dotknął, a gdyby kto poważył się nosić jego szatę, jeść z jego półmiska, albo w jego garnkach sporządzać potrawy, ściągnąłby podług wiary japońskiéj niezawodnie straszną pomstę nieba na siebie. Dla uniknienia takiego nieszczęścia, niszczą i palą wszystko, czego monarcha raz użył, toż samo dzieje się z jego szatami, które takiego są koloru, jakiego nikomu w całém państwie nosić nie wolno. Z tego powodu znaczne są u dworu Mikada wydatki, które Ziognu opędzać jest obowiązany; jednakże ten jest tak roztropnym, iż mu jak najpośledniejszych i najtańszych potrzeb dostarcza.

Administracyja państwa spoczywa w ręku Zioguna; do boku jego jest przydany pewien rodzaj rady ministeryjalnéj, któréj uchwały do potwierdzenia mu przedłożone zwykle od niego przyjmowane bywają, a jeżeli je odrzuci, trzech książąt rodziny królewskiéj sprawę rozstrzyga. Jeżeli książęta tegoż samego co ministrowie są zdania, natenczas Ziogun na rzecz prawego następcy swego, władzę swą złożyć jest obowiązany. Jeżeli zaś rozjemcy przychylają się do zdania Zioguna, wtedy wszyscy ministrowie muszą sobie odebrać życie, to jest podług zwyczaju u dworu japońskiego, muszą sami sobie rozpłatać podbrzusze.

2) WACHLARZE.

W całéj Japonii ani mężczyźni ani niewiasty nie noszą kapeluszów, wyjąwszy podczas deszczu wielkiego. Nakrycie głowy zastępują wachlarze, które nawet dostatecznie od słońca zasłaniają. Nic bardziéj nie zwraca na siebie uwagi Europejczyka nad te wachlarze, nie ujrzy bowiem bez wachlarza żadnéj żywéj duszy. Kapłani i żołnierze tak dobrze są zaopatrzeni wachlarzami, jak niewiasty, które ich na ten sam sposób jak u nas używają. Ztém wszystkiem wachlarz służy Japończykom do rozlicznego użytku. Osoby odwidzające się przyjmują na wachlarzu podane sobie łakotki; żebrak nadstawia ci wachlarz, dla uzyskania jałmużny. Modniś używa wachlarza podobnie jak nasz swojéj laski albo batożka. Znakomitym zbrodniarzom podają wachlarz na osobnym talerzu, jako wyrok śmierci, a skoro przyjmą i rozwiną, natychmiast im głowa z karku spada.

3) OGRODY MIEJSKIE.

Domy wielkich panów mają najczęściéj ku ulicy obszérny portyk, w którym osoby oddające wizytę zostawiają lektyki (*palankiny*), parasole i sandały, gdzie przebywa służba, i gdzie wszystkie sprawy gospodarstwa się załatwiają. W głębi domu mieszka familija, a każdy dom ma kształt trójkąta i leży w ogrodzie. Ogrody te, zwykle są małe, i tylko na oko w stylu sielskim założone; są tam sztuczne skały, góry, jeziora, wodospady i grupy drzew rozmaitych; znajduje się w nich zwykle także kaplica domowa. Ogrody te, jakkolwiek dla ciasnej przestrzeni swojéj śmiésznémi się wydają, jednakże są ozdobą miasta i domów, bo z daleka dają widok przyjemny, zwłaszcza, że najmniejszy dom ma na ten sam sposób urządzony ogródek; góry, skały, wodospady i t. d., podobne są do sklepowych dziecięcych zabawek, a karłowate zaś drzewka są w wazonach poustawiane. Niewiasty z swojémi córkami bawią większą część dnia w tych ogrodach, tam przepędzają sen swego jednostajnego życia, gdyż pod karą śmierci nie wolno im nawet po za niektóre dzielnice miasta z domu się wydalić.

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 19. i obejmuje: 1) Prawo zbożowe angielskie i kraje rolnicze. (Ciąg dalszy.) 2) Sposób wytępienia chwastu. 3) Co jest mączna rosa, miodunka i rdza roślinna? 4) Kilka słów o zgromadzeniu niemieckich gospodarzy w Bernie od 20—28 września 1840 r. 5) O sposobie oswobodzenia wódki od swędu olejkowego (*Fuselöl*), przez pana Aldefelda. (Dokończenie). 6) Krwawnik wyborną karmą dla indycząt. 7) Wiadomości czasowe.

W Warszawie Władysław Beothkowski wydał: *Niektóre poezyje* Antoniego Czajkowskiego. Młody poeta ten, którego pisma warszawskie bardzo chwaląc, mienią najpierwszym z swych poetów, jest Krakowisninem i synem zgasłego przed dwoma laty Pawła Czajkowskiego, znanego profesora literatury przy Uniwersytecie Jagiellońskim. *Piśmiennictwo krajowe* przytaczając jeden ładny utwor z tego zbioru, p. t. *Igrzysko rzymskie*, na ironiczne wezwanie p. Kraszewskiego, ażeby mu poetę w Warszawie pokazano, tryjumfująco Antoniego Czajkowskiego wskazuje. Nie znamy jeszcze tych poezyj. — Tamże ogłoszono prospekt na wychodzić mający w zeszytach miesięcznych: *Pamiętnik religijno-moralny, poświęcony ku zbudowaniu i użytkowi osób, tak duchownych jak i świeckich*. — Szkoda wielka, że wydawany u nas w Przemyślu: *Przyjaciel chrześcijańskiéj prawdy*, już tak dawno nic o sobie słyszeć nie daje. Miałżeby ustać zupełnie, kiedy mógł na co-raz pożyteczniejsze wyradzać się pismo?

Z Wilna: Z artykułu pana Kraszewskiego, umieszczonego w *Tygodniku Petersburskim*, wyjmujemy następujące nowości literackie: Zjawia się nowy pseudonym Jarosz Beyła, który ma wydać *Mieszaniny*; »przewyborny« (jak referent powiada) »zbiór najświeższych, najśmielszych i najnowszych myśli i najświeższych pełnych dowcipu obrazków (!)« — *Pielgrzymki* ks. Hołowińskiego (których tom piérwszy w druku), ozdobione sztychami szkoły düsseldorfskiéj i wizerunkiem autora, wyjdą w ozdobném, smakowném i kosztownem wydaniu. — Do zamierzonego tłumaczenia *Ojców kościoła* oprócz jks. Hołowińskiego należeć mają: hr. Henryk Rzewuski, A. i M. Przeździeccy, M. Grabowski i t. p. — T. Glücksberg zajmuje się całkowitém wydaniem *Pism* Kazimiérza Brodzińskiego, mających wychodzić pod redakcyją Dyonizego Chodźki. — M. Grabowski przygotowuje wydanie *Opisu Ukrainy* teraźniejszéj i dawnej, A. Przeździecki ciąg dalszy *Wołynia i Podola*, nową edycyję *Szwecyi* i tom drugi *Prób dramatycznych*. — *Bibliografii* Jochera zeszyt szósty prasę opuścił.

Dnia 23go marca dawano w Londynie na teatrze *Convent-Garden* nową komedyję w trzech aktach, pod tytułem: *The Embasy* (ambasada), przedstawiającą poselstwo polskie, zapraszające na tron Henryka Walezyjusza; Łaski gra główną rolę. *(Oręd. nauk.)*

W Wiedniu umarł poeta Gleich, znany pod imieniem autora dzieła: *Der schwarze Ritter*. Napisał w ciągu życia swego 215 romansów, (z których większa część w 2, 3, 4 a nawet i 5 tomach), 300 kilkanaście sztuk teatralnych, a był oprócz tego współpracownikiem kilku pism peryjodycznych. Zostawił majątku około 200,000 złr., które idą w spadku na córkę jego panią Rajmund, żonę znanego artysty. Pani Rajmund jest śpiewaczką w teatrze opery przy Bramie karyntyjskiéj.

Kierowanie balonem. Pewien pan S. razem z swym synem ogłosił, że wynalazł sposób kierowania balonem. Jakoż w samej rzeczy powiodło się mu kilka prób na dziedzińcu wojskowéj szkoły w Paryżu. Niedawno przed pałacem Villetaneufe niedaleko St. Denis, wykonano większą próbę. Obadwaj wynalazcy wznieśli się w zrobionym przez siebie balonie niemal na 200 metrów w górę, poczém wprawili w ruch swój nowowynaleziony mechanizm, a balon zaczął sterować ku Zachodowi, chociaż dął wiatr przeciwny. Żeglowali jeszcze w różnych kierunkach, przyczém balon podnosił się i spuszczał podług ich upodobania, chociaż żadnego nie miał balastu. Po odbytém doświadczeniu tém, spuścili się śród okrzyku widzów na toż samo miejsce, z którego się w górę wznieśli. Czas okaże ile jest prawdy w tym wypadku, o którym dzienniki paryskie wiele rozprawiają.

Rozprawy o obwarowniu Paryża. Pewien żartowniś obliczył, że gdyby z francuzkiego dziennika *Moniteur* powycinano wszystkie mowy, które miano w izbie parów i deputowanych o obwarowaniu Paryża i poprzyczépiano jednę do drugiéj, takowe zajęłyby 70,000 metrów przestrzeni, a przeto więcéj niż 200,000 stop długości. A zatem dwa razy tyle, jak obwód opasującego wału wynosi. Same mowy Thiersa są tak długie, jak front dwudziestu dwóch bastyjonów, a mowy hrabi Argout jak ośm odosobnionych warowni. — Drugie dowcipne wyrachowanie jest takie: że gdyby zamiast papiéru wzięto same czcionki, jak to: duże i małe *Cicero, Bourgeois, petit* i *nonpareil*, których na wydrukowanie tych długich mów użyto, możnaby z nich wznieść wał mający 60 stóp wysokości a 15 stop szérokości i t. d. A że mowcy zapał swój nieraz wodą gasić musieli, przeto wypili w ogóle więcéj wody, niż artezyjska studnia koło jatek w *Grenelle* codziennie wydaje. Dziennik *Charivari* przytacza jeszcze więcéj podobnych porównań.

Jedna z Gramatyk taki dołącza przypisek: »Zkąd ludzie przychodzą do wziętości? Jedni *per nominativum* (przez imię); drudzy *per genitivum* (przez urodzenie); inni *per dativum* (przez dary); inni znowu *per accusativum* (przez oczernianie innych); mało *per vocativum* (przez powołanie); ale wielu *per ablativum* (przez bierność).

Lis mimo chęci złodziejem. W końcu przeszłego miesiąca, pewien mieszkaniec z Martonos, sepskiego komitatu, wybrał się do St. György dla kupienia na tamtejszym jarmarku kilka sztuk bydła. W tym zamiarze wziął z sobą trzos, w którym było kilkadziesiąt złr. m. k. Niedaleko mostu spostrzegł na śniegu w rowie świeży trop zwierza, a niebawem samego lisa, który, jak się zdawało od zimna zdrętwiały tam się przytulił. Podkradłszy się ostrożnie, zrzuca opończę i przykrywa nią lisa, który przeznaczeniu swemu cierpliwie się poddaje. Szczęśliwy myśliwiec układa sobie już naprzód w głowie, ile za skórę jego w miasteczku St. György otrzyma, gdy oto lis sprzykrzywszy sobie uścisk swojego przyjaciela, staje się niecierpliwym i uwolnić się stara. Myśliwiec nasz bojąc się, aby go lis nie pokąsał, wpada na myśl ścisnąć mu szyję trzosem i tym sposobem zabezpieczyć się od przypadku, poczém sporym krokiem na jarmark spieszy. Już się zbliża do St. György, gdy oto lis usłyszawszy szczekanie psów, jednym rzutem uwalnia się z rąk swego ciemiężcy, zmyka wraz z dobrze naładowanym trzosem po miękkim śniegu przez pole, i z ócz mu w chaszczach ginie. Któż zdoła opisać zmartwienie biednego wieśniaka! Mniemając, że trzos może się rozwiązał i spadł gdzie w chaszczach, zbiera z pośpiechem kilku przyjaciół i w pogoń spieszy, ale nadaremnie szuka i narzeka. Wrócił z niczem do domu i od swoich sąsiadów, miasto pożałowania, jeszcze wyśmianym został.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców ***Franciszka Krattera.***
Drukiem ***Piotra Pillera.***